

Dab,  
filozofów

Anna Wewior

- K santypo, cóż to za hałas?

- Takiś mądry, a nie rozpoznajesz sójki?

- Ale skąd wziął się ten ptak w domu?

- Nagle interesują cię sprawy domowe? Tak rzadko tu bywasz, że nie sądziłam, że cokolwiek zauważasz.

- Czy uda mi się zdobyć odpowiedź na moje pytania?

- Uda, nie uda – może mnie skłonisz do szukania mojej prawdy o tej sójce!

Ksantypa jak zwykle wylewała swoje złości i żale na męża, ale w końcu nie wytrzymała. Chciała pochwalić się, jak to za drobną pomoc udało jej się zdobyć od sąsiadki tego pięknego ptaka, którego widywała już w domach niektórych mieszkańców Aten i z którego była bardzo dumna. Jej próżności nie pomniejszał fakt, że sąsiadka chętnie pozbyła się stworzenia, bo sama miała już dość jego skrzeczenia. Ale przecież sójka nie tylko umiała skrzeczeć, ale i naśladować głosy innych ptaków, szpaków, myszołowów czy jastrzębi – stąd właśnie pochodziła moda na trzymanie ich w domach. Nie wytrzymała więc i pochwaliła się wszystkim Sokratesowi.

Reakcja męża nie była taka, jakiej się spodziewała – ale przez lata małżeństwa zdążyła się nauczyć, że zwykle jego reakcje nie są takie, jakich się spodziewała...

- Kobieto, cóż za chwała dla tego biednego ptaka, że naśladuje inne? Może w lesie udaje mu się dzięki temu przetrwać, ale w domu? Po cóż mamy go trzymać? By nasze dzieci uczyły się, że poklask można zdobyć powtarzając głosy innych? Już i tak dość tego wychowania dostają młodzi w naszych czasach od dorosłych, nawet w szkołach...

I tak skończył się pobyt sójki w domu Sokrates i Ksantypy. Sójkę wypuszczono przez okno, a na odchodne (odlotne) filozof szepnął do niej – Kochana, staraj się mówić swoim głosem, jeśli tylko możesz, chociaż ty... – i ironiczny uśmiezek pojawił się na jego niezbyt nieurodziwej twarzy.

Działo się to się to w Grecji dwa i pół tysiąca lat temu. I dwa i pół tysiąca kilometrów od naszej okolicy.

To było miejsce i czas, kiedy w słonecznym i bezpiecznym kraju rodziła się filozofia - z miłości do wiedzy, myślenia i poszukiwań. Rodziła się w głowach pierwszych mędrców, nie szukających swej chwały, ale siadających z tymi, którzy chcieli ich słuchać w cieniu drzew. Tam skryci przez piekącym śródziemnomorskim słońcem rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali...

Cienia szukali często pod dębami, nazywanymi drzewami Zeusa, bo ściągały na siebie pioruny. Były to cenione drzewa, to w ich liście stroili się bohaterowie chętniej nawet niż w laury, przeznaczone dla poetów i artystów.

Kilkadziesiąt lat przed opisanym zdarzeniem w domu Ksantypy, schronieni pod jednym z dębów, toczyli rozmowę młodzi poszukiwacze prawdy. Ich myśli, tak jak i ich nauczyciela Archelaosa, rozpalało pragnienie poszukiwania jej, osiągnięcia episteme i arete, wiedzy i cnoty. W tych podniosłych nastrojach pochylali ku sobie głowy, przepełnione ważnymi myślami, gdy nagle jeden z nich niespodziewanie wydał z siebie krótki jęk. Głowy odskoczyły od siebie, a uczniowie spojrzeli na siebie zdziwieni. Cóż, zdarzenie okazało się nie tak niecodzienne, to po prostu żołędź spadł z drzewa, uderzając prosto w skupione czoło początkującego filozofa, który właśnie podniósł oczy w górę i zadarł (i tak już zadarty) nos, by w błękitie greckiego nieba szukać natchnienia dla swych myśli. Był to niewysoki, niezbyt urodziwy mężczyzna, ale w jego oczach tliły się iskry, jakie rozpala żywy umysł.

Było to śmieszne, więc zaśmiał się. Było to denerwujące, ale nie zdenerwował się. Przyjrzał się żołędziowi. Gładki, smukły, pochodził z nie tak popularnego w Grecji rodzaju dębu, dębu znanego dziś jako szypułkowy. W jego rękach czapeczka oddzieliła się od jajowatego żołędzia. Patrzył na nie przez chwilę. A co, jeżeli wiedza i cnota stanowią taką właśnie jedność? Jeżeli ten, kto prawdziwie pozna, będzie też żył tą wiedzą i episteme stanie się arete? Tak rozmyślając, bezwiednie włożył żołędzia do torby...

Sokrates, bo o nim mowa, jakiś czas jeszcze uczył się od Archelaosa, ale nieuchronnie ten wielki umysł musiał przerosnąć mistrza, założył więc własną szkołę i sam nauczał. Niedaleko jego domu zaś rosło wtedy drzewo, z owego właśnie żołędzia, który kiedyś tak go rozbawił i natchnął. Zdarzało się, że przy tym drzewie spotykano Sokratesa zastygłego w skupieniu i rozmyślanii... Może stał tam i myślał

to, co według starożytnych stanowiło o jego wielkości: Scio me nihil scire – wiem, że nic nie wiem.

I tak wiele lat przewodził Sokrates budzącym się młodym umysłem, wybijał z przyjętych bezmyślnie poglądów, dobijał się do umysłów ludzi, mistrz zadawania pytań, by rozmówca sam odkrywał swoją prawdę. (Warto wspomnieć, że 2 i pół tysiąca lat temu znaleźli się tacy, którzy stosując tę samą metodę śmieli uznać się za jej twórców i nazwać swoją nazwą, czyli coachingiem... niepomni, że wyważają otwarte dawno w starożytności drzwi, a metoda majeutyczna ma już nazwę nadaną przez Sokratesa).

Nie wszystkim były w smak te pytania, nie wszystkim odpowiadało szczere poszukiwanie... I już wtedy wielu sprzeciwiało się nakłanianiu młodzieży do myślenia i formułowania własnych sądów... Widział to Sokrates, walczył z tym, a jego zacięcie zaowocowało wolnością myślenia wielu uczniów - i wolnością jednej małej sójki. To właśnie wtedy wypuścił ptaka, nie mogąc znieść, by naśladownictwo było cenione choćby u sójki. Uwolniona sójka zamieszkała w okolicy, koło dębu, który wówczas zbliżał się do lat 40, czyli wieku, kiedy zacznie wydawać pierwsze żołądź.

Życie Sokratesa ma smutne zakończenie – za „psucie” młodzieży i niewyznawanie bogów zgodnych z tymi, których wyznawali rządzący skazany na śmierć, przyjął truciznę i odszedł z tego świata wiele lat przed zasadzonym przez siebie dębem. On z kolei, z natury długowieczny, w tym właśnie roku wydał pierwsze żołądź, nieświadomy natchnienia, z jakiego pochodził jego pierwszy kielek.

Istnienie tego dębu nie jest pewne. Ale wydaje się bardzo prawdopodobne. Kto nie wierzy, niech dalej nie czyta, bo zaczną się tu sprawy jeszcze mniej zasługujące na wiarę, a jednak – prawdziwe. Wiem z najlepszych źródeł, że wypuszczona sójka nie pozostała obojętna na los Sokratesa. A swoim ptasim umysłem ogarniając tylko część zdarzeń, postanowiła pomóc ideom swojego dobroczyńcy rozpowszechnić się po świecie. Co było jego natchnieniem? Czy nie chwila, kiedy spadł mu na głowę żołądź? I czy nie z tego żołądźcia wyrosły teraz kolejne, które spadały koło domu samotnej Ksantypy? Sójka zbierała je skrzętnie i leciała najdalej jak mogła, by sadzić je, rozsiewać, wierząc, że są wehikułami myślenia. Do swej pracy zaprzęła też inne zwierzęta, nie tylko ptaki, ale i gryzonie, nornice, myszy, żołądnice, które niosły owoce

dębu jeszcze dalej i dalej. I tak właśnie wnuki i prawnuki dębu, który zrzucił owoc na Sokratejską głowę, wyrastały coraz dalej na północy, a zwierzęta wiedziały zawsze, które drzewo jest tym właśnie potomkiem i z którego owoce podawać trzeba dalej, gdy osiągnie już dojrzałość.

I tak w końcu na naszych ziemiach pojawiła się pewna wiewiórka, zmęczona długą drogą, ale wyjątkowo jak na zwierzę niepomna swoich potrzeb. Dotarła do otwartego miejsca, zacisznego, przyjemnego, oddalonego od ludzkich siedzib, ale wydającego się bezpiecznym. I tam zakopała swój skarb: niesiony z dalekiego południa żołądz. Czy niosłaby go, gdyby nie był to potomek dębu mądrości? Śmiem sądzić, że nie.

A było to lat temu wiele, pół wieku mija od czynu dzielnej wiewiórki. Dąb wyrósł, rodził żołądzie, okoliczne myszy i sójki, a nawet dziki powstrzymując łakomstwo, roznosiły dalej jego owoce, lecz nie wiem, które jeszcze dęby w okolicy są potomkami greckiego dębu filozofa. Wiem tylko o tym jednym. Gdy miał 300 lat, pojawili się pod nim ludzie i być może rozpoznali w nim siłę i mądrość. Zbudowali tam dom, który od 200 lat korzysta z opieki dębu o korzeniach silnych w ziemi i rozległych w krainie filozofii. Pięciusetletni dąb, uznany za pomnik przyrody, rozpościera swe gałęzie nad domem w północnych rubieżach Przyborowa i przywołuje pod swe konary ludzi pragnących mądrości. Choć nie zawsze udaje im się to pragnienie spełnić, zawsze mogą usiąść pod dębem w rok urodzajny w żołądzie, najlepiej w wietrzny dzień i patrząc przez rozłożyste konary na niebo, przecinane smugami samolotów, czekać, aż i na ich czoło spadnie... upragnione natchnienie.

Koniec